

JAN ŻARYN, BEP IPN

MOJE SPOTKANIA Z OJCEM ŚWIĘTYM

Wszystko zaczęło się w październiku 1978 r. Byłem wzruszony, szczęśliwy. Wydawało mi się, że przewidziałem przyszłość: mówiłem, iż papieżem zostanie Polak. Dziś już nie pamiętam, czy tak było naprawdę.

W lipcu 1978 r. po raz kolejny nie zdałem na studia wyższe; od września musiałem zatem kontynuować naukę w jednej ze szkół pomaturalnych. Szybko znalazłem grono bardzo sympatycznych ludzi, także wśród nauczycieli. W tym czasie Episkopat Polski walczył z komunistyczną władzą o termin i trasę pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny. Jako „stary” ministrant zapisałem się w swojej parafii (Zbawiciela) do kościelnej służby porządkowej. Zbliżał się początek czerwca 1979 r. Otrzymałem zadanie, by w dzień przyjazdu Ojca Świętego do stolicy, a zatem w sobotę, być obecnym przy Trasie Łazienkowskiej; Papież wjeżdżał do serca miasta ulicami Żwirki i Wigury, Wawelską, Armii Ludowej. Sobota nie była wówczas dniem wolnym od zajęć szkolnych. I wtedy po raz pierwszy spotkałem Ojca Świętego. A było to tak. Dyrekcja szkoły pomaturalnej składała się z osób mocno partyjnych, przesyconych ideologią marksistowską. Do tej placówki oświatowej PRL chodziła głównie młodzież pozawarszawska, zalękniona, szukająca stałego miejsca zamieszkania w stolicy (dziewczęta „studiowały” przede wszystkim kandydatów na męża). Groźna Pani Dyrektor postanowiła w piątek nawiedzić wszystkie klasy, zadając uczniom pytanie: kto następnego dnia nie przychodzi do szkoły? Dziś to pytanie brzmi niewinnie. Wówczas dla tej młodzieży było oczywiste, iż intencją Dyrekcji było zastraszenie uczniów. I rzeczywiście, przechodząc od klasy do klasy, Pani Dyrektor nie napotykała oporu. Uczniowie milczeli. Była lekcja języka niemieckiego, kiedy dotarła do nas. Padło znane nam już pytanie. I wtedy jako jedyny w klasie i w szkole wstałem, informując spokojnie, że zamierzam następnego dnia witać Papieża-Polaka. Zapadła cisza, nauczycielka języka niemieckiego zrobiła się blado-czerwona, zapewne z lękiem czekała na wyrok. Pani Dyrektor zatrzęsała się nerwowo i wyrzuciła z siebie „pioruny”: „A gdzie solidarność szkolna! Dlaczego to robisz naszej szkole”. Równie spokojnie, już pewien swego ostatecznego losu, odrzekłem, że społeczność szkolna nie jest dla mnie najważniejszą wspólnotą w obliczu przyjazdu Ojca Świętego. I wtedy stała się rzecz dziwna, Pani Dyrektor porwała dziennik, długopis w jej rękę zaczął krążyć po kolejnych nazwiskach z listy. Ręka zatrzymała się; przy nazwisku Jan Żaryn pojawiła się adnotacja: „zwolniony”. Nastąpiła przerwa; drzwi i okna zostały otwarte. A ja stałem się bohaterem dnia. Cała szkoła waliła do mnie, by pogratulować i zapytać: „Co powinniśmy zrobić?”.

Następnego dnia, w sobotę, w szkole pozostała osamotniona Dyrekcja, kilku nauczycieli i uczniów, z którymi nie wiadomo było co zrobić. Byłem jedynym, który legalnie uczestniczył w powitaniu Ojca Świętego. Reszta „zwiąła”. Moje wspomnienia dotyczą także wydarzeń, w których wszyscy braliśmy udział. W czasie pamiętnej Mszy św. na placu Zwycięstwa stałem daleko od ołtarza, wciśnięty między drzewo, wiernych i mur graniczny na tyłach Pałacu Potockich (czyli gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki). W niedzielę, uczestnicząc w spotkaniu Papieża z młodzieżą w roli „kościelnego ochroniarza”, stałem tuż przy figurce

Matki Boskiej Passawskiej. Wielki tłum młodzieży siedzący na jezdni Krakowskiego Przedmieścia! Ten obraz mam w oczach. Okazało się, że nie jestem sam, że są nas miliony. Okazało się, że można żyć bez narzucającej się władzy państwowej, wówczas w sposób niepojęty nieobecnej.

Miesiąc później byłem już po egzaminach na wyższą uczelnię; od października 1979 r. podjąłem studia historyczne. Z kręgów wspomnianej szkoły pomaturalnej opowiadano mi tylko, że służyłem Dyrekcji – w jej pogadankach umoralniających – za pozytywny przykład sprzeciwu, w odróżnieniu od... (tu Dyrekcja wymieniała nazwisko kolejnego ucznia).

Latem 1979 r., w nagrodę za zdane egzaminy, miałem wyjechać do Hongkongu, gdzie mieszkała od lat moja siostra. Niestety, władze brytyjskie – faktycznie decydujące o przyznaniu wizy – nie chciały wpuścić „komunisty” i musiałem zadowolić się wędrownką po Europie. I wtedy z plecakiem i namiotem pod pachą wyruszyłem do Rzymu, do Papieża. Nie miałem za dużo pieniędzy i nikogo nie znałem. W ciągu 10 dni podróży nie było dnia spędzonego w samotności. Jeździłem autostopem. Pamiętam, jak w Padwie – a był to wtorek, późny wieczór – złapałem kolejny samochód. W środku kierowca, łysawy mężczyzna i gromadka rozbawionych dzieci. Pogratulowałem mu dzieci. Od czegoś trzeba było zacząć. Mój rozmówca lekko się sponił: „Jestem księdzem, mam tutaj w pobliżu – w Rovigo – swoją małą parafię. Wracamy z »uczty« pizzowej”. „To pewnie musi być piękny kościółek” – rzekłem. „Eh, tam! Taka trzynastowieczna mała świątynia” – odparł ku mojemu rozbawieniu. Rozmawialiśmy po francusku; ksiądz dowiedział się, że jestem Polakiem, że jadę do Rzymu. „No i jak to możliwe, przecież jutro jest środowa audyencja. Jak pan zdąży?” – zafrasował się kapłan. Nagle samochód skręcił, wjechaliśmy na stację włoskiej kolei. Okazało się, że najlepszy dla mnie pociąg odchodzi z Rovigo o 2.00 w nocy; zostałem obdarowany biletem, potem pojechaliśmy na kolejną kolację, do jego domu parafialnego. Zdążyłem jeszcze godzinę pospać; zostałem obudzony i zawieziony na stację. Zdążyłem.

W środę rano byłem już na placu Świętego Piotra. Niewiele pamiętam z tej pierwszej pielgrzymki do Wiecznego Miasta. Mieszkałem w swoim namiocie na kempingu w Prima Porta; wieczorem, w środę, siedzieliśmy przy ognisku z ks. Kazimierzem Przydatkiem i studentami SGGW, którzy przyjechali zaśpiewać Ojcu Świętemu. W moim namiocie było dużo miejsca, kilku studentów gościłem więc u siebie. Stolica Apostolska „fundowała” wszystkim pielgrzymom z Polski opłaty kempingowe, o ile pamiętam, w 50 proc. Na dźwięk słowa „Polacco” otwierały się włoskie usta w uśmiechu, otwierały się i serca. Wtedy też po raz pierwszy spotkałem w kawiarni pewnego Niemca, który zaprosił mnie następnie na śniadanie (w dzinsach i z plecakiem nie wyglądałem zapewne na bogacza). Opowiadał,



Rodzina Żarynow u Ojca Świętego, Castel Gandolfo

że zna jedno słowo po polsku: „psiakrew”, bo walczył w Wielkiej Wojnie na froncie niemiecko-rosyjskim ramię w ramię z Polakami, poddany cesarza: „Ale dziś – mówił – Europa jednoczy się; zobaczy pan, i Papież was zjednoczy”. Wydawało mi się to tak dalekie od ponurej rzeczywistości w PRL. Kłóciłem się, że my nigdy Niemcom nie wybaczymy...

Podczas kolejnych pielgrzymek Ojca Świętego w Polsce, tych z lat osiemdziesiątych, byłem nadal członkiem kościelnej służby porządkowej. Zmieniały się tylko kolory czapek: żółte, szare. W 1983 r. pamiętam ten moment, gdy stojąc wzdłuż chodnika przy pl. Na Rozdrożu, usłyszeliśmy głos z milicyjnej suki: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”. To robiło wrażenie. Pamiętam także te wzruszenia, marsz na Stadion Dziesięciolecia wzdłuż gmachu KC PZPR: „Nic nam nie możecie zrobić” – mówiliśmy do siebie. Byłem w Krakowie, w Niepokalanowie; jak tylko mogłem, jeździłem za Papieżem. Wtedy wydawało mi się, że już nigdy nie będę stać bliżej Ojca Świętego. Jak mało wiedziałem!

Po 1989 r. „zachorowałem” na poriomanię. Wraz z małżonką Małgosią i naszą trójką dzieci: Anią (ur. 1982 r.), Stasiem (1984) i Krzysiem (1988) w ciągu lat dziewięćdziesiątych objechałem niemal całą Europę. Byliśmy też w Rzymie. W sierpniu 1995 r. mieszkaliśmy u naszych przyjaciół, Ewy Bilińskiej i jej męża Wojciecha, który w tym czasie – po śmierci ambasadora prof. Henryka Kupiszewskiego – był najwyższym rangą dyplomatą Ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej (wkrótce przybył Stefan Frankiewicz, redaktor „Więzi”, by objąć placówkę). Nagle otrzymaliśmy wiadomość, że następnego dnia możemy zostać przyjęci przez Papieża w Castel Gandolfo. Burza mózgów: gdzie znaleźć garnitur, czy nasze dzieci dorosną do tego wydarzenia, tyle chciałoby się powiedzieć, usłyszeć. Sprawy ważne mieszały się z nieważnymi. Był 19 sierpnia 1995 r., wigilia rocznicy urodzin mojej żony. Papież przyjmował pielgrzymów w swej letniej rezydencji. Zostaliśmy ustawieni w grupach na wielkim dziedzińcu. Po Mszy św. Ojciec Święty podchodził do każdej z nich, by odbyć blisko 10-minutową rozmowę. Obok niego siedł ks. Stanisław Dziwisz. Wojtek przedstawił nas Ojcu Świętemu, a potem wycofał się, by dać nam możliwość swobodnego porozmawiania z Papieżem. Pamiętam te 10 minut, aż 10 minut – sam na sam z Ojcem Świętym.

Najpierw przekazałem Janowi Pawłowi II naszą książkę, syntezę dziejów Polski napisaną wspólnie z żoną i Alicją Dybkowską. Pamiętam swój potok słów, które w zdenerwowaniu padały rzucając w stronę Papieża: „Napisaliśmy historię ojczystą, ku pokrzepieniu serc; o Polakach, o dobrych ludziach” – mówiłem, pokazując zdjęcia z okładki: „Od Mieszka I do Jana Pawła II”. Ojciec Święty próbował mi przerwać, początkowo bezskutecznie: „A gdzie synu pracujesz?” – pytał. – „Skąd jesteście?” Był nadzwyczaj cierpliwy, wsłuchany w moją tyradę, wypowiadaną momentami bez składu i ładu. Chciał mnie poznać. W końcu Mu się udało, przerwał mi, złapał za rękę, i powiedział: „No, to wszystko dobrze, ale przecież ty masz dzieci; widzę dwóch synów”. Młodszy, Krzys – o którego reakcję baliśmy się najbardziej – rzucił się w tym momencie do Ojca Świętego i wczepił się ustami w jego pierścień. Starszy, Staś, z nieśmiałością i godnością, ze czcią nawet, patrzył na zbliżającą się do niego dłoń Ojca Świętego. I Ania, zachwycona i wzruszona; ta sama Ania, która potrafi być zdyscyplinowana i mocna – harcerka. Byliśmy z Małgosią zachwyceni, oczarowani. W kilka dni później odebraliśmy zdjęcia autorstwa Arturo Mari – czekały u ojca Konrada Hejmo, w jego gościnnym centrum pielgrzymkowym. Do dziś zdobiół pokoje moich dzieci – teraz już doroslejszych, a my, jeśli nadal pozostajemy w Kościele, to zapewne za sprawą tego człowieka – Jana Pawła II.

Czy były to wszystkie nasze rodzinne spotkania z Ojcem Świętym? Oczywiście, nie! Widywaliśmy go wielokrotnie podczas kolejnych pielgrzymek do kraju, czytaliśmy jego homilie. Czy potrafiliśmy Go zrozumieć?